

Ojciec



GUY DE MAUPASSANT

Ojciec

TEŁUM. ANONIMOWY

Przyjaciela mego Jana de Valuoir odwiedzam od czasu, do czasu. Posiada on nad brzegiem jednej rzeki małą rezydencję, wśród lasów. Po piętnastu latach szalonego życia w Paryżu wycofał się przesycony, w to urocze zacisze. Nagle miał dość już tych wszystkich rozkoszy, tych uczt, tych ludzi, tych kobiet, — kart, — wszystkiego i schronił się do swej posiadłości, w której się urodził.

Było nas dwóch, lub trzech, którzy od czasu do czasu spędzaliśmy u niego, dwa lub trzy tygodnie co roku. On, niewątpliwie cieszył się naszym przybyciem, radował się również niewątpliwie pozostawszy sam, gdyśmy go opuścili.

Gdy przybyłem do niego ostatniego tygodnia przyjął mię z otwartymi rękoma. Dnie spędzaliśmy to razem, to samotnie. Zresztą on spędzał dzień na czytaniu, ja na pracy, wieczorami tylko gawędziliśmy do północy.

I tak, w ostatni wtorek, siedzieliśmy we dwójkę koło godziny dziewiątej wieczór nad rzeką, patrząc na płynące u stóp naszych fale, dzieląc się z swemi spostrzeżeniami, zresztą bardzo słabymi, nad bytem i ruchem gwiazd, kąpiących się w zwierciadle wody. Rozprawialiśmy o istotach zamieszkujących te światy, o ich kształtach przypuszczalnych, o ich nieodgadnionych zdolnościach, o zwierzętach, roślinach, o tych wszystkich właściwościach, tworach i postaciach, które jedynie fantazyja nasza w pewnych chwilach wywołać jest wstanie.

W tem nagle z daleka posłyszeliśmy wołanie:

— Proszę pana, proszę pana!

— Tu jestem, Baptysto, odpowiedział mój przyjaciel.

Służący przyszedł ku nam i oznajmił:

— Ta cyganka, znajoma pana przybyła.

Przyjaciel mój począł się śmiać, śmiał się szalonym śmiechem, potem zapytał:

— Mamy dziś 19 lipca?

— Tak, panie.

— Bardzo dobrze. Powiedz jej, by zaczekała, daj jej kolację, ja za dziesięć minut nadejdę.

Gdy służący oddalił się, przyjaciel wziął mię pod rękę.

— Pójdziemy powoli, po drodze opowiem ci tę historię.

Prawie przed siedmiu laty, w roku, w którym tu powróciłem, wyszedłem jednego wieczoru przejść się po lesie. Była piękna pogoda podobnie jak dzisiaj, idąc wolnym krokiem pod wielkimi drzewami spoglądałem na gwiazdy po przez liście, pijąc pełną piersią świeże powietrze lasu i nocy.

Właśnie opuściłem był Paryż na zawsze. Byłem strasznie zmęczony, rozżalony więcej, aniżeli jestem to wstanie powiedzieć, wszystkimi temi głupstwami, miłostkami, tymi brudami, które widziałem i w których brałem sam udział przez te lat piętnaście.

Szedłem daleko, — daleko przed siebie w głęboki las, krętą ścieżką, która prowadzi do wsi Crouille, o pięć kilometrów ztąd.

Nagle mój pies Bock, wielki saint germain, który mię nie odstępował począł warczeć. Sądziłem, że jest na tropie lisa, wilka, lub dzika i szedłem lekko za nim, na palcach, by nie robić hałasu; w tem nagle posłyszałem, krzyk, — krzyk ludzki, jęczący, przytłumiony, rozdzierający.

Niewątpliwie mordowano kogoś w krzakach, pobiegłem ściskając w ręce grubą, dębową laskę, prawdziwą maczugę.

Zbliżyłem się do miejsca jęków, które teraz dochodziły mię bardziej wyraźnie, ale dziwnie przytłumione. Zdawało się, że wychodzą z jakiegoś domu, lub może budy węglarza. Bock, biegnąc na trzy kroki przedemną, zatrzymał się, nawrócił podniecony i warczał nieustannie. Nagle inny pies, wielki czarny pies, o świecących ślepiach zastąpił nam drogę. Widziałem bardzo dobrze ostre kły, które zdawały się błyszczeć w jego paszczy.

Pobiegłem ku niemu z podniesioną laską, tymczasem jednak Bock skoczył na niego i wkrótce oba chwyciwszy się zębami za karki, tarzali się po ziemi. Minąłem ich i o mało nie potknąłem się o konia leżącego na drodze. Zdziwiony zatrzymałem się i spostrzegłem przed sobą brykę, raczej domek na kołach, jeden z tych wózków linoskoków i kramarzy, którzy jeżdżą z jarmarku na jarmark.

Ztamąd to wychodziły owe krzyki, straszne, bezustanne. Że jednak wejście było z drugiej strony, obszedłem brykę, wszedłem szybko po trzech drewnianych stopniach, gotowy wpaść na złoczyńcę.

To jednak co spostrzegłem, wydało mi się tak dziwnem, że z początku pojąć nie mogłem. Jakiś mężczyzna klęczał przed łóżkiem, stojącem w tem pudle, jakby się modlił, podczas gdy na łóżku leżała jakaś postać, trudna do rozpoznania, w połowie naga, okręcona, która rzucała się i krzyczała.

Zrozumiałem wreszcie, że to była rodząca kobieta.

Mężczyzna, jakiś szalony marsylczyk, spostrzegłszy mię, począł mię błagać by ją ratować, obiecując mi wśród potoków niezliczonych obietnic, nieprawdopodobną wdzięczność. Nigdy nie widziałem przedtem porodu, nie pomagałem nigdy przy takim wypadku żadnemu stworzeniu, ani suce, ani kotce, i oświadczyłem mu to odrazu, spoglądając z przerażeniem na ową krzyczącą na łóżku istotę.

Odzyskawszy po chwili zimną krew, zapytałem przygnębionego człowieka, dlaczego nie jedzie do najbliższej wioski, koń jego wpadłszy w wybój złamał nogę i nie mógł wstać.

— A no mój chłopcze, zawołałem, jest nas dwóch teraz, zaciągniemy sami twoją żonę do mnie.

Atoli ujadanie psów zmusiło nas do wyjścia, ryzykując, że je pozabijamy, kijami rozdzieliliśmy ich wreszcie. Następnie przyszło mi na myśl, żeby ich także zaprządz, jednego z prawej, drugiego z lewej strony przy naszych nogach. W dziesięć minut potem wszystko było gotowe i wóz ruszył powoli w drogę, wstrząsając na głębokich wybojach biedną kobietę.

Mój drogi, co to była za podróż. Szliśmy zadyszani, spoceni, ślizgając się, padając czasem, psy również dyszały przy nogach naszych jak miechy.

W trzy godziny zaledwie dobiliśmy w ten sposób do zamku. Gdyśmy prawie przybyli przed wrota, krzyki we wozie ustały. Matka i dziecko miały się dobrze.

Ułożyliśmy ich w wygodnym łóżku, kazałem zaprządz i sprowadzić lekarza, Marsylijszyk zaś pocieszony, pełen otuchy, tryumfujący, zajadał i zapijał się na śmierć, aby uczcić te szczęśliwe urodziny.

Urodziła się córka.

Zatrzymałem przez ośm dni tych ludzi u siebie. Matka, panna Elwira była jasnowidzącą somnambulistką, wywróżyła też mi życie bez końca i szczęśliwości różnych bez liku.

W rok potem, co do dnia, pod wieczór ten sam służący, który mię właśnie wołał, oznajmił mi w mym gabinecie do palenia, gdzie spoczywałem po obiedzie: „Ta cyganka, z roku poprzedniego, przybyła podziękować panu”.

Kazałem ją wprowadzić i zdziwiony spostrzegłem z nią, wysmukłego, wielkiego blondyna, mieszańca północy, który pozdrowiwszy mię przemówił imieniem tej nowej współności. Dowiedziawszy się o mojej względem panny Elwiry dobroci, nie mógł ominąć tej rocznicy bez oświadczenia mi ich wspólnych podziękowań, w dowód wdzięczności.

Ofiarowałem im swoją gościnność, zapraszając ich na kolację i na noc. Nazajutrz odjechali.

Otóż, ta biedna kobieta, powraca co roku, w tę samą datę ze swoim dzieckiem, śliczną dziewczynką i — za każdym razem z innym mężczyzną. Jeden tylko, jakiś owergijczyk, zjawił się przez dwa lata dwukrotnie. Mała dziewczynka nazywa ich po kolei ojcem.

Przybywszy do zamku, spostrzeżliśmy, stojące przed gankiem trzy cienie, nas oczekujące.

Cień najwyższy zbliżył się z zamaszystym ukłonem:

— Panie hrabio, przybyliśmy dzisiaj, oświadczyć panu naszą wdzięczność, — pan wie za co...

Był to znowu jakiś belgijczyk!

Po nim wyrecytowała mała, przygotowana już widocznie z góry, komplementa.

Ja, udając niewinnego, odciągnąłem na bok pannę Elwirę i po kilku słowach zapytałem ją:

— Czy ojciec dziecka pani?

— Ach! nie panie.

— Ojciec, zatem umarł?

— O! nie proszę pana. Widujemy się z nim czasem jeszcze. On jest teraz żandarmem.

— A — tak! to nie był zatem ten marsylijszyk pierwszym, — ten co to był przy porodzie?

— O! nie — proszę pana! Tamten to był łajdak, który skradł mi moje oszczędności.

— A, żandarm, ten prawdziwy ojciec, zna swoje dziecko?

— O! tak panie, — kocha je nawet bardzo; nie może jednak niem się zajmować, — ma już inne, ze swoją żoną.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#).

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/ojciec-maupassant>

Tekst opracowany na podstawie: Guy de Maupassant, Wybór pism. Ojciec Amable i inne nowele, tłum. anonimowy, księgarnia i drukarnia związkowa w Chrzanowie, Kraków-Warszawa 1914.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0524-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).